

665



Dla klasyki powinien nastąpić dobry czas

Z reżyserem teatralnym IZABELLĄ CYWIŃSKĄ rozmawia ROMANA KONIECZNA

przedstawień, których twórcy, robiąc adaptacje, wykazywali brak pokory wobec myśli autora. Nie znaczy to, że jestem przeciwna wszelkim adaptacjom, sięganiu w nich po inne teksty tego samego autora, jeśli miałyby to dobrze służyć przekazowi, wspomagać ideę spektaklu. W przypadku Schulza i obu Gombrowiczów — były to przykłady bezmyślnego mieszania różnych utworów. Np. w usta uczestników wrocławskiej „Biesiady u hrabiny Kotlubaj” wkładano teksty z „Dziennika”, „Pamiętnika Stefana Czarnieckiego”, z czym — moim zdaniem — autor na pewno by się nie zgodził. Opolska „Biesiada...” była już absolutnym bełkotem. Szanujmy bezbronnych nieboszczyków — tym bardziej na festiwalu KLASYKI.

— Gdy istniała cenzura, klasyka polska pełniła funkcję zastępczą. Twórcy posługiwali się dziełami klasyków do mówienia o tym, o czym nie można było mówić wprost. Teraz, kiedy to już niepotrzebne, jakie jest Pani zdaniem miejsce i rola klasyki w teatrze, jak i po co ją grać? Czy pozostała już tylko jej funkcja edukacyjna, granie lektur dla młodzieży szkolnej, by zapełnić widownię?

— Zaczynam od definicji klasyki: klasycznym utworem jest dzieło o trwałej wartości, które mieści w sobie uniwersalne treści, wiecz-

nie aktualne, bo dotyczą człowieka, a nie polityki. Polityka jest tylko jednym z elementów naszego życia. Niestety, w ostatnich latach był to element dominujący, wobec czego interpretacja klasyki szła właśnie w tym kierunku. A to, o czym pani wspomina, czyli szukanie sposobu na przechytrzenie cenzury, tworzyło specjalny język — język aluzji. Teraz, kiedy wracamy do normalności i wolno powiedzieć wszystko, a nawet więcej niż wszystko, czasem za dużo (to forma odreagowania cenzury) — klasyka, mam nadzieję, wróci na swoje właściwe miejsce. Nie będziemy utworów klasycznych interpretować w sposób szczególny, naginając do celów doraźnej polityki, a zajmując się treściami, dzięki którym te utwory zostały uznane za klasykę. Sądzę, że dla klasyki powinien nastąpić dobry czas.

— Jeden z krytyków — Jacek Sieradzki — recenzując ostatnio w „Polityce” „Nie-Boską komedię” w reżyserii Prusa i „Fantazego” w reżyserii Bradeckiego, suponuje, iż zrobili oni spektakle zimne, wyzbyte wzniosłości, patosu, z lęku przed rozminięciem się z publicznością, która wszystko to, czym żyły pokolenia polskiej inteligencji, może przyjąć z obojętnością, lekceważeniem. Jakie jest Pani zdanie na ten temat?

— Po pierwsze, nie podzielam opinii Sieradzkiego o „Nie-Boskiej komedii” w realizacji Prusa. A co do tezy jakoby publiczność była niechętna patosowi, emocjom — z tym nie zgadzam się kategorycznie. Pozorny jest konsumpcyjny i cyniczny stosunek do życia. I wymuszony przez trudny czas, który przeżywamy. Wszystko natomiast wskazuje na to, że młodzież szuka wyższych wartości i gotowa jest na ich przyjęcie. Ważna jest forma. W oczach młodzieży tracą: Kościół jako licencjonowany, teatr — bo przeżywa szok, nie umie dostosować się do nowej sytuacji, literatura — bo nie proponuje, jak dotychczas, niczego poza rozrachunkiem z komunistyczną przeszłością, a rozrachunków wszyscy powoli zaczynają mieć dość. Z kinem rzecz ma się podobnie

— Będąc ministrem kultury należała Pani do elity władzy i mogła przyjrzeć się jej z bliska. Czy dało to jakieś interesujące doświadczenie, które wykorzysta Pani w twórczości reżyserskiej?

— Ta elita władzy, którą poznałam, to środowisko, z którym przyszło mi te piętnaście miesięcy współpracować — to byli ludzie bardzo piękni, biedni i przestraszeni. A także tacy — i ci mogliby być materiałem dla twórczości teatralnej, stanowiąc element dramatyzmu — dla których władza jest wartością samą w

sobie; rządząc, żęby rządzić. O takich ludziach napisano wiele znakomitych dramatów, o nich pisał Brecht. Gdyby mieli być pożywką dla mojej twórczości, wróciłabym tam, skąd przyszedłam — do teatru politycznego. A tego nie chcę.

— Licząc na Pani poczucie humoru, zaryzykuję pytanie, być może drażliwe: jak zareagowała pani na powieść „Królowa Krakowskiego Przedmieścia” i czy domyśla się, kto jest autorem tego paszkwilu, ukrywającym się pod pseudonimem Jacek Akerman?

— Zareagowałam jak każdy normalny człowiek. Po prostu zrobiło mi się przykro, ale rozumiem, że te 60 milionów, które przypuszczalnie autor zarobi na tej książce — było dla niego dostatecznym powodem do napisania takiego paskudztwa. Nie mam zielonego pojęcia, kto to jest i nawet wolę nie wiedzieć. Wobec paszkwilantów, robiących dla miłego grosza obrzydliwy użytek z przywróconej u nas wolności słowa, jest się bezbronnym

— I już ostatnie, stereotypowe pytanie o plany?

— Pracuję nad Fundacją Kultury, która będzie jednym z proponowanych rozwiązań dla sposobu finansowania kultury. W związku z tym w najbliższym czasie jadę na stypendium British Council do Anglii, by uczyć się tam prowadzenia fundacji publicznej. Przygotowuję na zamówienie Warszawy scenariusz telewizyjny. Jego realizacja ma się zacząć w jesieni, a gdzie — jeszcze nie wiem. Będzie to adaptacja powieści Dostojewskiego „Skrzydzeni i poniżeni”.

— Dziękuję za rozmowę, i do widzenia na opelskich konfrontacjach, na których — nie wątpię w to — nadal będziemy oglądać Pani spektakle.